

# Legendy Lublina i Łucka





# Sen Leszka Czarnego

Ta historia wydarzyła się w czasach, kiedy Polacy i Litwini nie bardzo się jeszcze lubili. Plemiona litewskie raz po raz napadały na ziemie lubelskie, plądrując wioski i miasteczka Lubelszczyzny. Przerażeni mieszkańcy Lublina wysłali poselstwo do księcia krakowskiego Leszka Czarnego, by ten rozprawił się z Litwinami. Książę nie mógł pozostawić swoich poddanych bez opieki, więc zebrał wojsko i ruszył lublinianom z pomocą.

Litwini niezbyt mieli ochotę krzyżować miecze z potężną armią Leszka, więc kiedy dowiedzieli się o nadciągającym wojsku, po prostu uciekli. Książę zamiast przeciwnika zastał tylko zniszczone domy i smutnych mieszkańców Lublina. Droga z Krakowa była długa, a książę zmęczony. Skoro nie miał z kim walczyć, postanowił uciąć sobie drzemkę. Znalazł rozłożysty dąb, w którego cieniu zasnął.

I kiedy śnił o rzeczach przyjemnych, ale całkiem nieistotnych, we śnie przysła do niego dostojna postać w zbroi lśniącej jak promienie słońca. Do tego miała skrzydła, patrzyła prosto w oczy księcia i mówiła:

– Leszku! Leszku!

Książę poznał, że stoi przed nim sam Michał Archanioł. Złękł się trochę, ale pokornie zapytał:

– Co?

– Wstawaj! Za miecz chwytaj! I goń wroga! Raz, raz, raz!

Sam Archanioł kazał pognać za Litwinami. Leszek Czarny nie mógł więc nie posłuchać. Wziął swoje wojsko i pognał. I dogonił! I pokonał, że aż miło!

A potem książę wrócił pod dąb, gdzie przyśnił mu się proroczy sen, i oddał cześć Bogu. W miejscu, w którym stało drzewo, Leszek kazał wybudować kościół pod wezwaniem św. Michała Archanioła, a z drewna niezwykłego dębu wyrzeźbić ołtarz do świątyni.

Niestety, dziś nie zobaczymy już ani kościoła, ani ołtarza. Za to plac Po Farze ciągle możemy odwiedzić. Jak głosi plotka, podobno nadal śnią się tam niezwykle sny... jeśli komuś uda się tam zasnąć.





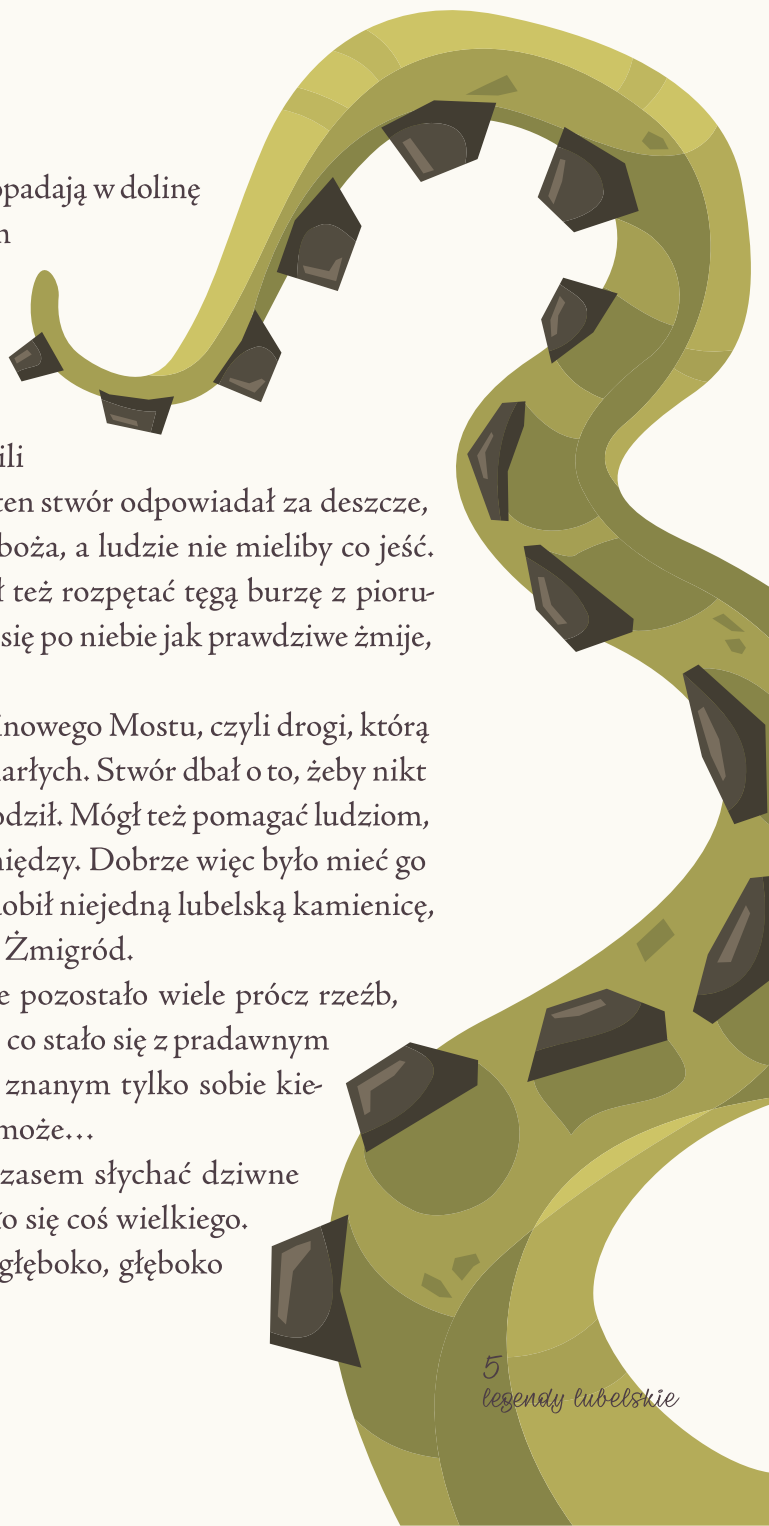
# Żmij

A skoro o dębach mowa... Tam, gdzie wzgórza lubelskie opadają w dolinę rzeki Bystrzycy, rósł dębowy gaj, którego mieszkańcem był osobliwy stwór. Dziś nazwalibyśmy go smokiem, ale w dawnych czasach zwano go Żmijem. Podobno miał trzy głowy, dwie łapy, potężne skrzydła i ogon zakończony ostrym i bardzo jadowitym kolcem. Groźny wygląd sprawiał, że ludzie bali się go, ale i tak przynosili mu ofiary, bo miał niezwykle ważne zadania. To właśnie ten stwór odpowiadał za deszcze, a przez to za wzrost roślin. Gdyby nie on, nie rosłyby zboża, a ludzie nie mieliby co jeść. Żmij jednak, będąc w nie najlepszym humorze, potrafił też rozpętać tęgą burzę z piorunami i grzmotami. Stąd zresztą na błyskawice, które wiją się po niebie jak prawdziwe żmije, mówiło się „wężowe znamię”.

Innym ważnym zadaniem Żmija było pilnowanie Kalinowego Mostu, czyli drogi, którą według dawnych Słowian dusze wędrowały do krainy umarłych. Stwór dbał o to, żeby nikt z żywych tam nie wchodził ani nikt z umarłych nie wychodził. Mógł też pomagać ludziom, przynosząc im podarki w postaci mleka, zboża albo pieniędzy. Dobrze więc było mieć go po swojej stronie. Być może dlatego wizerunek Żmija zdobił niejedną lubelską kamienicę, a jego imię można odnaleźć na przykład w nazwie ulicy Żmigród.

Dziś już nie ma dębowego gaju. Także po Żmiju nie pozostało wiele prócz rzeźb, nazw i paru znalezionych podczas wykopalisk kości. Ale co stało się z pradawnym gadem? Tego do końca nie wiadomo. Może odleciał w znanym tylko sobie kierunku, kiedy ludzie odwrócili się od dawnych bogów, a może...

...ponoć gdy wędruje się lubelskimi podziemiami, czasem słychać dziwne stuki i syki zza ścian. Brzmią one, jakby obok przesuwano się coś wielkiego. Może Żmij wcale nie opuścił miasta, tylko schował się głęboko, głęboko pod ziemią.





# Kościół Bernardynów

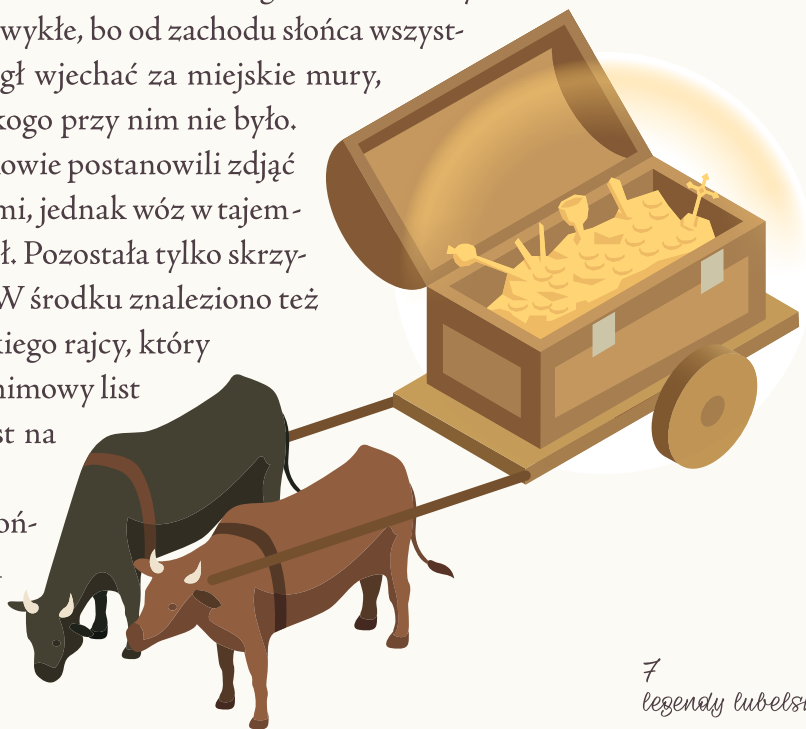
Czy chcielibyście znaleźć na ulicy portfel pełen pieniędzy, do którego dołączona byłaby karteczka z napisem: „Są twoje – wydaj, na co chcesz”? Cóż – marzenie to piękne, ale raczej niemożliwe, prawda? Otóż nie do końca...

Historia ta wydarzyła się podczas budowy kościoła Bernardynów. Choć prace szły sprawnie, a kto tylko mógł, pomagał, przyszła chwila, gdy skończyły się pieniądze na dalszą budowę. Kościół opustoszał, a tam, gdzie wcześniej można było spotkać robotników, zostały już tylko grzejące się w słońcu koty. Ta sytuacja trapiła mieszkańców Lublina, ale nikt nie wiedział, skąd wziąć dodatkowe fundusze. Coraz częściej pojawiały się głosy, że w dokończeniu budowy może pomóc chyba tylko cud.

Cud przyszedł w nocy wraz z potężną burzą, która rozpętała się nad miastem. Błyskawice smagały niebo, rozświetlając puste ulice i ciemne okna. W pewnej chwili pachołkowie pilnujący ratusza dostrzegli w świetle pioruna coś bardzo dziwnego. Na środku rynku stał wóz zaprzężony w dwa woły. Było to niezwykle, bo od zachodu słońca wszystkie bramy zostały zamknięte i nikt nie mógł wjechać za miejskie mury, szczególnie tak wielkim wozem. Zresztą nikogo przy nim nie było.

Na wozie leżała wielka skrzynia. Pachołkowie postanowili zdjąć ją i zanieść do ratusza, a potem zająć się wołami, jednak wóz w tajemniczy sposób zniknął... jakby nigdy nie istniał. Pozostała tylko skrzynia pełna drogocennych monet i klejnotów. W środku znaleziono też list zaadresowany do Jakuba Kwanty, miejskiego rajcy, który przekazał ziemię pod budowę kościoła. Anonimowy list informował, że cały skarb przeznaczony jest na dokończenie bernardyńskiej świątyni.

Dzięki tajemniczej skrzyni udało się ukończyć budowę kościoła, a mieszkańcom Lublina od tej pory łatwiej było wierzyć w cuda.







# Drzewo Krzyża Świętego

Relikwia, o której będzie tutaj mowa, to drzewo z krzyża, na którym umarł sam Bóg. Drewno Krzyża Świętego zostało odnalezione w IV wieku. Potem podzielono je na mniejsze części, żeby więcej osób mogło doświadczyć jego cudownej mocy. Największy z istniejących fragmentów trafił do Polski w XV wieku.

Do Lublina przyjechał wraz z biskupem kijowskim Andrzejem. Biskup zatrzymał się w kościele Dominikanów tylko na nocleg, lecz kiedy wyruszył w dalszą drogę, zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Konie zatrzymały się za murami miasta i nie chciały iść dalej. Nie pomogły prośby, groźby, a nawet bat. Zwierzęta ani drgnęły. Zrezygnowany biskup zawrócił więc do miasta z nadzieją, że uda mu się wyruszyć w drogę następnego dnia. Jednak dzień później sytuacja powtórzyła się. Konie nie chciały iść dalej!

Andrzej zrozumiał, że relikwia postanowiła zostać w Lublinie. Drzewo Krzyża Świętego pozostało więc pod opieką dominikanów. Czy może raczej to dominikanie znaleźli się pod jego opieką, bo od kiedy relikwia pojawiła się w Lublinie, zaczęły się dziać cuda. Ludzie byli uzdrawiani, pożary w mieście gasły, a kiedy wojska kozackie atakowały Lublin, same hufce anielskie z ognistymi mieczami zstępowały, by stanąć na miejskich murach.

Raz próbowano nawet ukraść relikwię, ale pechowego złodzieja spotkał taki sam los jak biskupa Andrzeja – jego wóz zatrzymał się tuż za miastem. Skruszony złodziej zawrócił do miasta, oddał relikwię, a jako pokutę ufundował kościół pod wezwaniem Świętego Krzyża.

W czasie drugiej wojny światowej, kiedy z niemieckich samolotów na miasto sypały się bomby, z kościoła Dominikanów wyruszyła procesja niosąca relikwię. Ponoć te części miasta, po których przeszła, wyszły z nalotów bez szwanku.

Niestety, w 1991 roku ktoś włamał się do kościoła i zabrał święty przedmiot. Z Drzewa Krzyża Świętego pozostał jedynie niewielki kawałek, który ukruszył się podczas czyszczenia. Choć nie wiadomo, co się stało z relikwią, pocieszający może być fakt, że ciągle chroni ona Lublin. Bo przecież nie da się jej wywieźć z miasta, prawda?





# Kamień nieszczęścia

Kiedy będziecie przechodzić ulicą Jezuicką, uważajcie, żeby przypadkiem nie dotknąć leżącego tam kamienia nieszczęścia.

Kamień ten w dawnych czasach służył jako podpora pod katowski pniak, więc widział, jak niejedna głowa potoczyła się po lubelskim bruku. Jednak po tym, gdy pewnego dnia kat ściął na nim niewinną osobę – i to z taką siłą, że topór wbił się w kamień – zaczęła się prawdziwa, czarna historia tego przedmiotu.

Wyszczerbiony kamień przeszedł na emeryturę i porzucono go na ulicy Rybnej. Pewnego razu kobieta niosła tamtędy zupę dla swojego męża, potknęła się i wylała ją na kamień. Zbiegły się psy i zaczęły wylizywać jedzenie. Niestety, chwilę później zwierzęta w tajemniczych okolicznościach pozdychały. Stąd zresztą powstała nazwa tego miejsca – Psia Górka.

Potem każdego, kto miał do czynienia z kamieniem, spotykało jakieś nieszczęście. Jedni umierali w straszny sposób, inni tracili wzrok, a jeszcze innym, którzy chcieli użyć kamienia do budowy, waliły się domy. Podobno wykorzystano go w fundamentach rosyjskiej prochowni. Nietrudno się domyślić, jaki los spotkał budynek. W 1919 roku z głośnym hukiem wyleciał w powietrze.

O strasznym oddziaływaniu kamienia nieszczęścia mogli się przekonać mieszkańcy Lublina także podczas drugiej wojny światowej. Gdy procesja z relikwią Drzewa Krzyża Świętego wędrowała po mieście, chroniąc jego mieszkańców, kamień ściągał na siebie niemieckie bomby. Okolice Bramy Trynitarńskiej, gdzie leżał ten nieszczęsny przedmiot, zostały najdotkliwiej zbombardowane i tam też zginęło najwięcej osób. Niektórzy mówią, że to przypadek, ale czy można im wierzyć?

Dlatego lepiej powtórzyć ostrzeżenie: jeśli będziecie przechodzić ulicą Jezuicką i trafiacie na kamień z głęboką szczerbą od katowskiego topora, lepiej miejcie się na baczności...





# Baszta Półokrągła

Niedaleko Bramy Krakowskiej znajduje się budynek zwany Basztą Półokrągłą albo Basztą Gotycką. To pozostałość po średniowiecznym systemie obronnym miasta. Budynek swoją nazwę zawdzięcza temu, że wygląda, jakby ktoś zbudował zwyczajną wieżę, a potem ciachnął ją przez środek i zabrał połowę. Dzięki temu możemy zobaczyć, jak prezentuje się od wewnątrz.

W średniowieczu budynek ten miał jeszcze jedną osobliwą funkcję. Wyrabiano tu bowiem gromnice – świece, które towarzyszyły życiu chrześcijan przez całą ich duchową drogę, a także miały wielką magiczną moc – ustawione w oknie, potrafiły chronić przed piorunami w czasie burzy albo trzymały złe duchy z daleka od domu.

Lublin doświadczył w swojej historii kilku pożarów, których przyczyny były rozmaite. Ponoć raz nawet miasto spłonęło przez... naleśniki. I choć Baszta Półokrągła nieraz ucierpiała w tych pożarach, nigdy nie stała się ich bezpośrednią przyczyną. Kto wie, może to właśnie przez produkowane tam świece.

Co zaś się tyczy opowieści o duchach, niektórzy powiadają, że jeden ze świecarzy (na imię mu było Joachim) zakochał się w mieszkance żyjącej niedaleko Bramy Krakowskiej. Żeby znaleźć do niej drogę w ciemne noce, podkładał produkowane w Baszcie Półokrągłej świece i w ich świetle przemierzał lubelskie uliczki. To świętokradztwo nie mogło skończyć się dobrze. Co stało się z Joachimem – nie do końca wiadomo. Wiadomo za to, że dziś, w ciemne noce, można czasem napotkać błędny ognik snujący się pomiędzy Basztą Półokrągłą a Bramą Krakowską. To Joachim pokutuje za swoje kradzieże nieroztropnie popełnione z miłości.





# Zegarmistrz miasta purpurowy

Zegar na Bramie Krakowskiej był jednym z najważniejszych urządzeń, jakie posiadało miasto. Przede wszystkim dlatego, że przez długi czas był to jedyny zegar w całym Lublinie. To on mierzył czas mieszczan, wyznaczając pory pracy i odpoczynku albo informując o terminach spotkań. Ważne więc było, żeby zegar pokazywał czas bardzo, ale to bardzo dokładnie.

Podobno zegarem w Bramie Krakowskiej zajmował się pan Lutowski. Człowiek ten bardziej niż ze swojej skrupulatności znany był z picia gorzałki i wszczynania awantur. Często z zegarowej wieży dochodziły jego pijackie wrzaski. Lutowski darł się na żonę i dzieci, a jak tych nie było w domu, to wykrzykiwał na zegar. Czasem rzucił w niego flaszką albo trzasnął urządzenie tu i tam. To sprawiło, że zegar chodził, jak chciał. Czasem w południe pokazywał pierwszą, a czasem jedenastą. Czasem wybijał kwadransy o pełnych godzinach, a pełnych godzin w ogóle nie wybijał. Czasem chodził za szybko, a czasem za wolno.

Przez wybryki Lutowskiego lublinianie nigdy nie mieli pewności, czy godzina widniejąca na zegarze była właściwa. Zresztą od tamtej pory w Lublinie czas zdaje się płynąć inaczej, a mieszkańcy miasta nie przywiązują do niego aż tak wielkiej wagi. Kto wie, może dlatego w Lublinie żyje się lepiej?

Lutowski prowadził się fatalnie, co sprawiło, że nie pożył za długo. Choć po jego śmierci nowy konserwator zegara nie pił już tyle gorzałki, to zegar dalej był pijany i pokazywał niewłaściwą godzinę. Mówiło się nawet, że to duch Lutowskiego wracał do swojego zegara i przestawiał wskazówki.

Choć zegar ma już nowy mechanizm i odmierza czas, jak należy, do dziś nocami w Bramie Krakowskiej można usłyszeć postukiwania i krzyki. Lublinianie mówią, że to Lutowski wrócił z zaświatów. Nie wiadomo tylko, czy znów chce bawić się zegarem, czy tylko szuka pełnej butelki.







## Boczarski i młyn

Budynek przy ulicy Bernardyńskiej 13 miał wielu właścicieli. Przez jakiś czas należał do samego króla Polski Jan<sup>1</sup> Sobieskiego (od niego zresztą pochodzi dzisiejsza nazwa budynku). W XIX wieku pałac dostał się zaś w ręce Dominika Boczarskiego, który wpadł na genialny pomysł, żeby w pałacowej wieży zbudować młyn... i to dość niezwykły młyn – skrzydła wiatraka były w nim umieszczone poziomo. Przez to cała wieża wyglądała jak wielki helikopter.

Niestety, ten pomysł Boczarskiego okazał się całkowitą klapą. Nie dość, że wiatrak w ogóle nie chciał się kręcić, to kiedy przyszła burza, roztrzaskała ramiona w drzazgi i rozrzuciła je po całej ulicy. Pechowy przedsiębiorca postanowił przebudować młyn, w co zainwestował całe swoje oszczędności, jednak i to nie pomogło jego interesom – Boczarski splajtował. O niepowodzeniu biznesmena zrobiło się głośno w całym mieście, a jego nazwisko znalazło się nawet w przysłowiu: kiedy komuś powinęła się noga w interesach, mawiało się, że „wyszedł jak Boczarski na młynie”.

Gdy staniemy przed pałacem Sobieskiego w bezksiężycową noc, może w oknie uda nam się dostrzec sylwetkę ducha Boczarskiego, który wędruje po wnętrzach pałacu, próbując znaleźć sposób na uratowanie swojego interesu...





## o Basi i Rudnickim

Burmistrz Lublina Sebastian Konopnica był człowiekiem znanym z oszczędności i nieustępliwości. Miał piękną córkę, Basię, do której wzdychało wielu młodzieńców. Konopnica wiązał z dziewczyną spore nadzieje. Chciał wydać ją za mąż za Hanusa, syna sąsiadów, by w ten sposób pomnożyć rodowy majątek i umocnić swoją pozycję w mieście.

Cóż jednak po ojcowskich staraniach, kiedy serce Basi skradł już młody szlachcic Jan Rudnicki? Podkręcony wąż i gorąca krew młodzieńca podobały się niewiastom – w tym Basia nie była wyjątkiem. Wyjątkowe było to, że i ona spodobała się Rudnickiemu. Pokochali się od pierwszego wejrzenia, ale burmistrz Konopnica nie chciał słyszeć o biednym szlachcicu za zięcia. Żeby wybić Basi z głowy Rudnickiego, burmistrz postanowił czym prędzej wydać córkę za Hanusa i w wigilię Bożego Narodzenia ogłosił, że zaręczyny odbędą się na początku roku – w Święto Trzech Króli.

Basia napisała do ukochanego pełen rozpacz list, w którym prawie się z nim żegnała. Rudnicki zapewnił ją, że wszystko dobrze się ułoży. Dni mijały jednak nieubłaganie i nic nie zapowiadało ratunku.

W dzień zaręczyn Basia jak zawsze wybrała się z matką do kościoła. Już nie dni, ale godziny dzieliły ją od oświadczeń i dziewczyna straciła nadzieję. Jednak po mszy zjawił się Rudnicki. Basia myślała, że po raz ostatni chce błagać o jej rękę, ale on zrobił coś innego. Chwycił ją w ramiona, wrzucił na wóz, a potem popędził konie! Wóz z młodymi zniknął w śnieżnej zadymce i ślad po nich zaginął.

A potem wrócili do majątku Rudnickiego już jako mąż i żona. Ciężko było młodym na początku, bo stary Konopnica ani myślał darować córce nieposłuszeństwo. Na szczęście mieli coś, co pozwoliło im przetrwać największe przeciwności – prawdziwą miłość.





# Kaplica Jagiellońska

Król Władysław Jagiełło często podróżował pomiędzy litewskim Wilnem a polskim Krakowem. Nic więc dziwnego, że regularnie gościł na lubelskim zamku. Tam przyjmował posłów, tam też urządzał ucztę i oczywiście modlił się w tamtejszej kaplicy. Kaplica na zamku różniła się jednak od tych, które król znał z ruskich cerkwi. Była skromna, a jej ściany nie zdobiły żadne malowidła. Ten fakt często wypominali Jagielle posłowie ze Wschodu, którzy przyzwyczajeni byli do pięknych ikon wymalowanych w ich świątyniach od ziemi aż po sufit. Król, który doskonale rozumiał wschodnie obyczaje, stwierdził, że Lublin zasługuje na najpiękniejszą kaplicę w Polsce. Wysłał więc posłańców, by odnaleźli mistrza, który podejmie się stworzenia malowideł w zamkowej kaplicy. Posłańcy wędrowali od klasztoru do klasztoru, oglądając najpiękniejsze freski i szukając najlepszego malarza.

Gdy dotarli do Łucka, natrafili na mistrza Andrieja, zwanego Rusinem, którego ikony były tak piękne, że od samego patrzenia na nie dusza zaczynała się modlić. Złożyli mu propozycję stworzenia malowideł dla samego króla, obiecując przy tym sowite wynagrodzenie. Mistrz Andriej zgodził się i wraz z pomocnikami powędrował do Lublina.

Dwa lata tworzył mistrz, wypełniając ściany i sklepienia obrazami aniołów i świętych. W noc i w dzień, w upał i mróz Andriej i jego pomocnicy pracowali bez ustanku, aż dzieło było gotowe. Kiedy król i jego goście wreszcie mogli obejrzeć wnętrze kaplicy, oniemieli z zachwytu. Na zamku lubelskim powstały jedne z najpiękniejszych malowideł, jakie oglądało ludzkie oko. Mistrz Andriej stworzył tam cud.

Pomiędzy scenami z Biblii i żywotów świętych Jagiełło wypatrzył coś, co zaparło dech w jego królewskich piersiach. Zobaczył samego siebie, jak klęczy przed Maryją z Dzieciątkiem. Święta Panna i jej Syn błogosławili królowi. Na innym zaś malowidle znów pojawiał się Jagiełło, w pełnej zbroi, jadący na białym koniu w stronę Litwy. Król tak zachwycił się wnętrzem kaplicy, że zapłacił Andriejowi dwa razy tyle pieniędzy, ile obiecał. Mistrz z Łucka udowodnił, że nie tylko jest doskonałym malarzem, ale też świetnie zna się na swoich klientach.

Do dziś możecie zobaczyć to, co stworzył mistrz Andriej na zamku lubelskim. I naprawdę warto!





# Klasztor Trynitarzy

A skoro już o Łucku mowa...

Była ciemna, deszczowa noc, gdy do bram klasztoru Bernardynów zapukał tajemniczy wędrowiec. Jechał z daleka i wiedział, że nie zdąży już dotrzeć do bram Łucka. Postanowił więc prosić zakonników o nocleg. Stary furtian, który otworzył bramę, odmówił mu jednak. Dał jedynie podróżnemu bochenek chleba i kufel piwa, żeby ten w dalszą drogę nie wyruszył głodny.

Nieznajomy posilił się i powędrował dalej do pobliskiej cerkwi św. Michała, gdzie od niedawna rezydowali bracia trynitarze (Zakonu Trójcy Przenajświętszej). Budynek był lichy, ale zakonnicy przyjęli wędrowca z otwartymi ramionami.

– Dla każdego znajdzie się kąt u naszego Ojca! – mawiali.

Trynitarze zajmowali się wyzwalaniem chrześcijan z tureckiego jasyru, więc doskonale wiedzieli, jak zadbać o strudzonych wędrowców. Zaopiekowali się nieznajomym, który gościł w ich skromnych progach przez trzy dni.

Okazało się, że wędrowiec to Paweł Majkowski, wysoko postawiony i bogaty urzędnik, który za gościnę przekazał trynitarzom kilka swoich wsi i wystarał się, by cerkiew św. Michała stała się własnością zakonu. Przekazał również spore sumy na budowę klasztoru pod wezwaniem Trójcy Świętej.

Majkowski sam zamieszkał w klasztorze i żył w nim do śmierci. Nie zapomniał też o bernardynach. Co tydzień wysyłał im bochenek chleba, a raz w miesiącu beczułkę piwa.







# Pożar!!!

W okolicach Łucka są jednak i bardziej pechowe zakony. Do takich zdecydowanie należy zakon sióstr brygidek, który przyczynił się do wielkiego pożaru całego miasta. Nie wiadomo dokładnie, skąd wziął się ogień. Kiedy płomień ogarnęły dach, nikt zresztą o to nie pytał. Kto mógł, chwycił za wiadro i pognął, by ratować siostry. I tutaj pojawił się pewien problem...

Otóż statut zgromadzenia sióstr brygidek zabraniał mężczyznom wchodzenia na teren klasztoru. Pomimo iż ogień szalał po całym klasztorze, siostry nie wpuściły do środka strażaków ani mężczyzn, którzy mieli im pomóc.

Klasztor płonął więc w najlepsze, ale na tym się nie skończyło. Ogień zajął sąsiednie zabudowania, a od nich zapłonęły następne i jeszcze następne, i wkrótce płonęło już całe miasto. Rozpacz ogarnęła jego mieszkańców i tylko przełożona zakonu była spokojna, widząc w ogniu szalejącym nad miastem znak zbliżającego się końca świata.

Jeśli o pożarze można powiedzieć coś dobrego, to chyba tylko to, że ogień wraz z klasztorem Sióstr Brygidek strawił też ich statut, przez który Łuck spotkał straszliwy los. Tak przynajmniej mawiali złośliwi.





## Trzy okna

Skąd przybyli Karaimi – dokładnie nie wiemy. Niektórzy mówią, że zamieszkiwali Turcję, inni, że krajem ich pochodzenia był Egipt, a jeszcze inni dopatrywali się ich początku w Jerozolimie. Wiadomo natomiast, że na naszych terenach zjawili się około XIII wieku. Uchodzili za ludzi bardzo mądrych. „Karaim” znaczy w końcu „ktoś, kto czyta”. Nic więc dziwnego, że za swoją wiedzę byli bardzo szanowani i często stawiano ich na równi ze szlachtą.

Brali także udział w bitwie pod Grunwaldem jako żołnierze księcia Witolda. W nagrodę książę wezwał do siebie starszych karaimskich i powiedział tak:

– Za wasze zasługi chciałbym was wynagrodzić. Nie mam jednak pieniędzy, więc nie proszę mnie o złoto.

Najstarszy i najmądrzejszy z Karaimów uklonił się przed księciem i odparł:

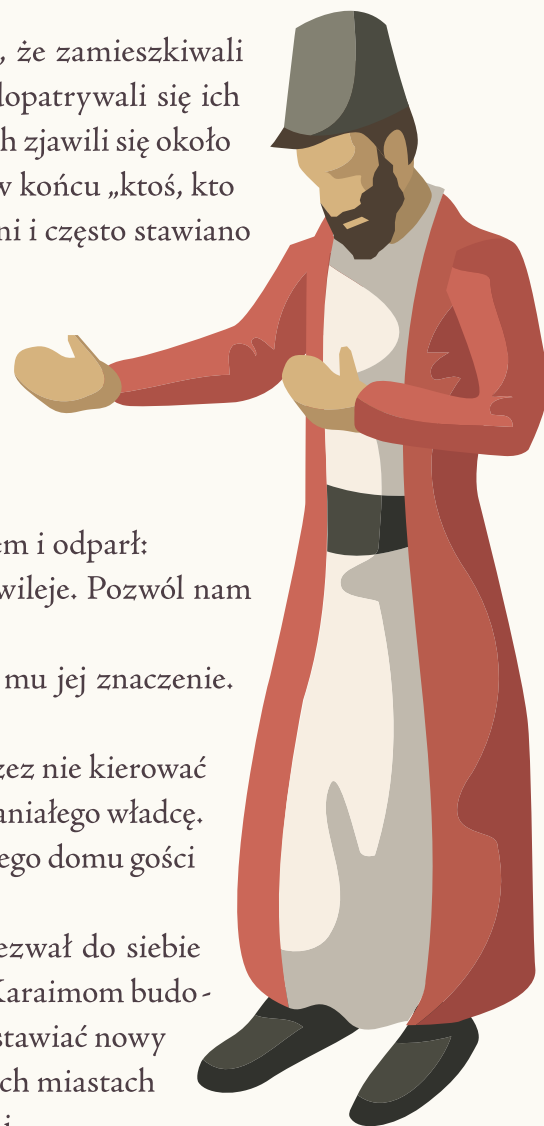
– Panie nasz! Nie śmiemy prosić o pieniądze ani o wielkie przywileje. Pozwól nam jedynie budować domy, które od strony ulicy będą miały trzy okna.

Zdziwiła Witolda ta prośba, więc poprosił, by starzec wyjaśnił mu jej znaczenie. Na to Karaim uklonił się po raz drugi i rzekł:

– Panie nasz! Jedno okno będzie dla naszego Boga. Będziemy przez nie kierować wzrok w stronę nieba. Przez drugie będziemy patrzeć na naszego wspaniałego władcę. Trzecie zaś jest po to, byśmy zawsze widzieli zbliżających się do naszego domu gości i byśmy przez nie mogli ich zapraszać.

Witold uśmiechnął się lekko i z uznaniem pokiwał głową. Wezwał do siebie nadwornego pisarza i podyktował mu uchwałę, w której zezwolono Karaimom budować domy z trzema oknami od strony ulicy. Od tej pory zaczęli oni stawiać nowy typ domów. W Łucku powstała cała ulica Karaimska, a w okolicznych miastach bardzo łatwo było rozpoznać te domy, w których mieszkali Karaimi.

Kto zgadnie – po czym?





TEKSTY: Mateusz Świstak  
ILUSTRACJE: Bartłomiej Zaborski  
PROJEKT TYPOGRAFICZNY, SKŁAD: Tomasz Smółka

ISBN 976-98-73251-8-22

COPYRIGHT: Urząd Miasta Lublin, Lublin 2019

Urząd Miasta Lublin  
plac Króla Władysława Łokietka 1  
20-109 Lublin  
[east.lublin.eu](http://east.lublin.eu)

DRUK: Drukarnia Akapit  
ul. Węglowa 3  
20-481 Lublin

NAKŁAD: 12 000



Niniejszy folder został przygotowany przy pomocy finansowej Unii Europejskiej, w ramach Programu Współpracy Transgranicznej Polska–Białoruś–Ukraina 2014–2020. Odpowiedzialność za zawartość tego folderu leży wyłącznie po stronie Gminy Lublin i nie może być w żadnym przypadku traktowana jako odzwierciedlenie stanowiska Unii Europejskiej, IZ lub Wspólnego Sekretariatu Technicznego Programu Współpracy Transgranicznej Polska–Białoruś–Ukraina 2014–2020

PL-BY-UA  
2014-2020

Financed by  
the **European Union**

